

ROMAN SABO

Prostokąt dwóch podwórek w trzech ścianach kamienic
 na wszystkie strony świata dwie głębie przestrzeni
 z chmurą głośnych dzieciaków w ceglanej kieszeni

niewiedzących że szczęście to brak świadomości
 że pod ziemią podwórka mogą leżeć kości
 że ponieważ czas płynie są tu tylko gośćmi

na bogate dzieciństwo wśród zdarzeń bezmiaru
 w kamienicznej przestrzeni w poniemieckim kraju.

Zza leżących na biurku komórki laptopa ipoda pendrajwów
 skanera drukarki kopiarki do cedetów patrzę na ogród za oknem –
 klon rododendrony zmierzwiona fryzura górskiego wiązu buki
 wśród których popiskuje sokół skąd w nocy wypłoszyłem sowę
 W żołądku elektronicznego lewiatana wśród tej szemirzącej mieniającej się
 popiskującej ślającej przyjmującej wibrującej najeżonej elektrycznością menażerii
 przypominam sobie małowalowy czarnobiały Turkus z dyktą z tyłu
 z wymalowanym znakiem błyskawicy dwoma programami ciszą w eterze po 21.
 50 lat temu rozrywką było głośne wołanie wozaka: kartofle kartofle kartofle
 zwiastujące zimę targi: węgiel wungiel wungielwungiel
 zachodzący na podwórko muzykanci od kapel po skromnego akordeonistę
 z puszką po konserwach w którą wkładał rzucane z okien aluminiowe monety
 cyganie z lutownicami na dziurawe gamki w piegach odpryskującej emalii
 wysiadanie na krawężniku plecami w stronę ulicy
 i zgadywanie po odgłosach: furmanka dwa konie trabant ifa jeden koń syrena
 i od wielkiego święta pobieda albo wołga

Ten rower który ci ukradli
 zobaczyłem oparty o mur kamienicy na Kaczyńcu
 skąd mogłem wiedzieć że będą cię prać po pysku
 za odmowę wykupienia własnego roweru

pamiętasz
 nagle zacząłem rosnać bez opamiętania
 serce nie nadążyło
 przestałem

czasami śnię inaczej
 i wtedy mieszkania otwierają się na oścież
 piwnice sięgają trzewi ziemi
 a ja chodzę po obejściu snów
 i zawsze wtedy gdy sen nabiera ziarnistości jawy
 wpadam w zasieki cyferek na przedramieniu wyschniętego na wiór mężczyzny

a czasem śnię rozsyp
 jakby ktoś pięścią bił w dom z klocków
 i koziołkują w powietrzu drzwi z wizytówkami
 lecą komety okien z ogonem firanek
 gruchocą pękające kafle węglowych pieców
 leje się woda z pourywanych kranów
 pył tak gęsty że można wyjadać łyżkami
 i twarze majączące sprzed czterdziestu lat
 przychodzą w takim śnie bezimiennie w gości

brudne zawszone rozszczekane psy
 całkowitej abnegatki socjalistycznej kloszardki
 w brudnym zawszonym rozszczekanim mieszkaniu
 tajemnicę którego dawno już zapieczetowała śmierć ludzka i psia

było ich dwóch
 a animozji między nimi starczyłoby dla całego podwórka
 ja tłułem oni tłuśli my tłuśliśmy
 aż się wszystko skończyło raz i na wieki wieków amen



graliśmy w piłkę
 wyzywaliśmy się
 chodzili po górach
 a nic ale to nic o tobie nie pamiętam
 z wyjątkiem nazwiska w którym byłeś o mało co lepszy

po Leszku
 zostało grobowe milczenie Ojca
 smutne oczy Matki
 i wizyty na cmentarzu gdzie zdjęcie szkolne patrzy na nas jakby nigdy nie

każdy raj ma swoje drzewa
 w raju zawsze rzeka płynie
 mieszka Adam żyje Ewa
 Bóg się nocą w chmurze kryje

każdy raj ma swoją bramę
 o mur wsparty miecz ognisty
 zakaz przymus żmiję radę –
 dalszy ciąg tak oczywisty:

gniew wygnanie poniewierka
 ugór orka plon ubogi
 brat na brata skrycie zerka
 dym supłami pęta nogi

raj to sen a za osnowę
 zwykle ma poczucie straty
 wątek zagmatwany w słowie
 mit po drugiej stronie kraty

czas Marku czas najwyższy wyjść z tego strumienia czasu
 przestać szperać po zakamarkach pamięci wzbijać tumany kurzu
 przerzucając
 splekane wyblakłe starzejące się razem z nami fotografie
 z wypłowiałymi imionami na odwrocie
 Rysiek Zbyszek Witek Fredek Leszek Wojtek
 Justyna Anka Krysia Celina Elwira Marysia
 skąd wiemy że chcą być przywrócenie terażniejszości
 może przeszłość stała się dla nich sanktuarium
 może jak Leszek w swoim grobie chcą po prostu świętego spokoju
 może im te nasze podwórkowe dziady komplikują byt
 może nie należy prosić prochem przeszłości w przestrzeniach podwórka
 może nie należy wchodzić raz jeszcze w strugę minionego czasu
 może śmierć ma swoje prawa nieznane nam żyjącym
 jakby nigdy nie pozwalającym sobie wtrącać się w jej sprawy
 czego nie ma nie istnieje co odeszło przestało być stając się prochem
 a prochem należy się szacunek cisza zapomnieni

A pan Bernadiuk też był niewielki mieszkał z nami drzwi w drzwi
 pracował w Operetce pochodził ze Lwowa. Kiedy umarł nie było
 komu postawić krzyża na jego bieda-grobie aż do dnia gdy mama
 stanowczo powiedziała – idziemy. Poszliśmy postawiliśmy i stał
 aż znowu upadł. Prawdziwa droga krzyżowa z tym krzyżem
 skomentowała mama i zafundowała panu Bernadiukowi trzeci. Tak
 mu widać było pisane: dwie żony trzy krzyże pamięć wieczna jak
 pióro stawiające litery na papierze.

a tak niedaleko od nas
 wśród wąskich uliczek i niezliczonych podwórek
 na które wchodzi się przez nisko sklepione bramy
 jak przez kolejne ogniwa łańcucha korytarze labiryntu
 czerwonego jak cegła Nikiszowca to się dopiero działo:
 anioły święci młodzieniaszkowie światłość wiekuista
 w najciemniejszych zakamarkach szybów i korytarzy
 święte przekonanie że tak samo jak nie ma
 kołowego kwadratu płaskiej przestrzeni
 żywego ciała bez pulsu wędrującej żyłami krwi
 tak nie ma świata materii bez światła i ducha
 a ludzie z aniołami pod rękę idą po fajrancie do domu

Roman Sabo, *Podwórko*, Toronto – Rzeszów 2014

rys. Alicja July

Alicja July

między garażami graliśmy w dom
 idealne matki zakładały idealne rodziny
 same wybierały sobie idealne dzieci
 którym wolno było zmieniać idealnych rodziców
 w osadzie wspólnie wychowującej dzieci
 które podnosiły z ziemi patyk i kamienie
 i zaczynały grać w wojnę podzieliwszy się
 na wrogie armie – a tu już nie było wyboru –
 tu był rozkaz huk strzałów i triumfalne – zabity zabity zabity

WAŻ BYŁ PIERWSZY

waż był pierwszy
 później psy w klatce małego mieszkania
 warczą na strofującą mnie matkę

indyk był na podwórku
 niesforny uparty niefrasobliwy
 cygan włóczęga

w to Boże Narodzenie w które skończył na
 półmisku
 nie tknęło go żadne ostrze